



Marsz po złoto



"Szedłem tak, jak chciałem. Byłem pewny swoich sił".

FOT. BARTŁOMIEJ ZBOROWSKI

KRZYSZTOF GUZOWSKI

z Sydney

ROZMOWA

Robert Korzeniowski, złoty medalista w chodzie na 20 km

Wygrać z wykrzyknikiem

Rz: Ze stadionu, po pokonaniu pięciu początkowych okrążeń, wyszedł pan pierwszy. Cały czas szedł pan w czołówce. Wrócił pan na stadion drugi w kolejności, ale jako zwycięzca. Czy tak zakładał plan?

Robert Korzeniowski: Tak właśnie wyglądała moja taktyka. Do 10. kilometra chciałem narzucić szybkie tempo, żeby wyeliminować słabszych przeciwników. Nie chciałem dopuścić do tego, aby ktoś inny dyktował rytm, który mi nie będzie odpowiadał. Wyglądało to może dość ryzykownie i głupio, że prowadzę, ale rozpędziłem peloton w tempie poniżej 4 minut na kilometr, co mi najbardziej odpowiadało. Szedłem tak, jak chciałem. Byłem pewny swoich sił, ponieważ wyniki badań, które robiłem przed igrzyskami, wskazywały, że jestem dobrze przygotowany. Między 10. i 15. kilometrem zakładałem trochę odpoczynku, a od 15. kilometra przyspieszenie, miałem nadzieję, że decydujące. Nie musiałem czekać na jakiś desperacki atak na końcu wyścigu, tylko mogłem odważnie pójść od początku do końca.

Spodziewał się pan, że najwięcej kłopotów sprawią panu Meksykanie i Rosjanin?

Nie było to dla mnie żadną niespodzianką. Po nieszczęśliwym wypadku samochodowym Rosjanina Ilii Markowa wiedziałem, że on nie odegra ważniejszej roli. Z trzech Rosjan obstawiałem więc Andriejewa. Spodziewałem się, że groźni będą wszyscy Meksykanie, ale za najlepszego z nich uważałem Daniela Garcję, który ma na koncie wiele medali. Okazało się, że Garcia doszedł do mety dwunasty, a zagrażali mi dwaj pozostali. Zupełnie nie znałem Noe Hernandez, który zajął drugie miejsce. To nowy człowiek w czołówce chodu, ale Meksykanie nie przysyłają na igrzyska słabeuszy.

Opracował pan taktykę, która okazała się zwycięska, poprawnie wytypował pan najgroźniejszych rywali. Czy to znaczy, że spodziewał się pan zwycięstwa? Do tej pory nie odniósł pan większych sukcesów na 20 kilometrów...

Jeśli byśmy wrócili do wioski olimpijskiej, do mojego pokoju i otworzyli mój terminarz, to tam byłoby napisane: wygrać. Z wykrzyknikiem. Co do moich dotychczasowych startów na 20 km, to rzeczywiście - najlepszy wynik, jaki osiągnąłem, to dwukrotnie czwarte miejsce w Pucharze Świata i dwa zwycięstwa w



Pucharze Europy.

Końcówka wyścigu była emocjonująca jak rzadko kiedy...

Dwa kilometry przed metą prowadziłem wspólnie z Hernandezem. Segura był za nami. Na podejściu przed stadionem Segura nas doszedł, Hernandez zaczął odpadać. Ramię w ramię z Segurą szliśmy tuż przed wejściem stadionu. W tunel przed stadionem wchodziliśmy w kolejności: Korzeniowski - Segura - Hernandez. W tunelu Segura jeszcze raz zaatakował. Ja bym się nie odważył, bo wychodzę z założenia, że chodu nie rozgrywa się na ostatnich stu metrach, ze względu na technikę i ryzyko, jakie niesie ze sobą nagłe przyspieszenie. Jak się okazało, nie miało to większego znaczenia, ponieważ Segura miał wniosek o dyskwalifikację już o wiele wcześniej, zanim weszliśmy na stadion. Sędzia główny nie zdążył dotrzeć tam, gdzie trzeba, i go złapać. Segura został zdyskwalifikowany dopiero po osiągnięciu mety. Jest to dla mnie pewien dyskomfort. Życzyłbym sobie wchodzić na stadion olimpijski jako zwycięzca, a nie jako ten, którego ktoś wyprzedził w tunelu.

Kiedy dowiedział się pan o złotym medalu?

Całą rundę honorową, z flagą w ręku, wykonałem jako zdobywca srebrnego medalu. Dopiero kiedy ponownie zjawilem się w okolicach mety, dowiedziałem się, że Segura dostał czerwoną kartkę.

Wszyscy pańscy rywale mieli upomnienia za podbieganie, Segura został zdyskwalifikowany. Pan przeszedł dystans czysto. Jak to się stało?

Czystych przejść w mojej karierze było całe mnóstwo, około 95 procent. Tylko że o takich się nie pamięta i nie mówi. Lepiej opisywać sensacyjne historie, związane z podbieganiem, zdejmowaniem z trasy. To, że przeszedłem dystans czysto, jest czymś normalnym, a nie odbiegającym od normy. Rzadko bawię się w ocenianie sędziów, ale tym razem chciałbym zabrać głos w tej sprawie. Podobało mi się, że byli bardzo dyskretni, wykonywali swoją pracę uczciwie i rzetelnie. Nie przeszkadzali, nie straszili sportowców jak na mistrzostwach świata w Sewilli, gdzie nie dotarłem do mety.

Rozmawiał pan ze zdyskwalifikowanym Segurą?

Powiedziałem mu, że jest mi przykro. Zachował się jednak niegodnie i śmiesznie, bo przyszedł na ceremonię rozdania medali, licząc na pozytywne rozpatrzenie swojej apelacji. Wszyscy wiedzieli, że nie ma szans, tylko nie on. W przeciwieństwie do mnie Segura w swojej karierze miał więcej dyskwalifikacji, niż zaliczonych dystansów. Ma prawo mieć żal, ale tylko do siebie.

Do startu na dystansie 50 kilometrów został tydzień. Jak pan go spędził?

Wyłączam się. Wyjeżdżam z wioski olimpijskiej. Moi przyjaciele załatwili mi mieszkanie w prywatnym domu. Będę normalnie trenował, zabieram z sobą masażystę. Chodzi mi po głowie wycieczka w Góry Błękitne, są ponoć przepiękne. Chciałbym też odwiedzić to wielkie akwarium w centrum Sydney, w którym pływają rekiny. Do wioski wrócę dopiero w czwartek wieczorem, przed samymi zawodami.

Co pan zapisał w notatniku przy 50 kilometrach?

Chyba łatwo się domyślić.

ROBERT KORZENIOWSKI

Wzór na nowe czasy

Urodził się 30 lipca 1968 roku w Lubaczowie. Jest dwukrotnym mistrzem olimpijskim w chodzie sportowym. W Sydney zdobył złoto na 20 km, w Atlancie na 50 km. Po serii bolesnych dyskwalifikacji (m.in. na 50 km podczas igrzysk w Barcelonie i podczas mistrzostw świata w Stuttgarcie '93) od połowy lat 90. zaczął jednak dzielić i rządzić w światowym chodzie. Zdobył brąz MŚ w Goeteborgu '95 na 50 km, na tym samym dystansie został mistrzem świata w Atenach '97 i mistrzem Europy w Budapeszcie '97. Zdobywał też medale na Uniwersjadach i halowych mistrzostwach świata.

Magister wychowania fizycznego, trener drugiej klasy po AWF w Katowicach, żonaty, córka Angelika. Młode lata spędził w Tarnobrzegu. Obecnie mieszka w Krakowie, jest zawodnikiem Wawelu, ale ma także przystań sportową we francuskim klubie Turcoing. Został chodźcą trochę z przypadku. Chciał uprawiać jakiś sport przede wszystkim dlatego, że jako dziecko nie miał wielkiego zdrowia. Cierpiał przez kilka lat na chorobę reumatyczną. Trafił na trenera pasjonata chodu.

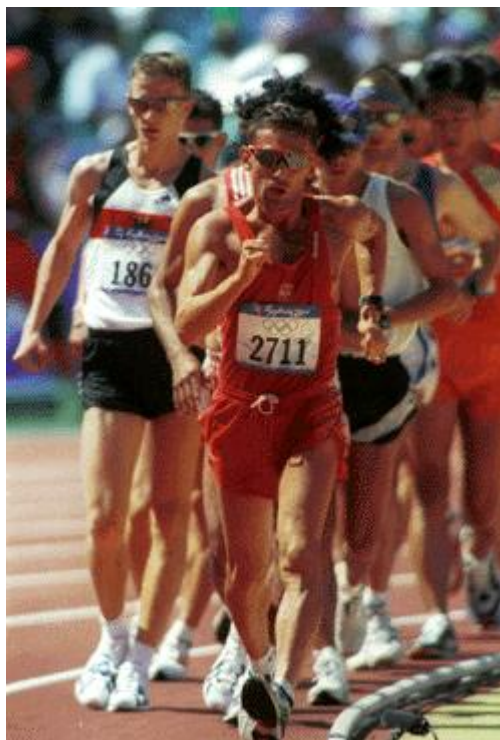
Został znakomitym sportowcem zarówno dlatego, że jest ambitny, jak i dlatego, że liczne dyskwalifikacje stały się dla niego dodatkową motywacją, a nie powodem załamania. Znany z wiary w

pracę i z umiejętności precyzyjnego opracowania własnego treningu. W nowych czasach wzór zawodowstwa sportowego w najlepszym znaczeniu tego słowa. Zna kilka języków, potrafi zadbać o stronę finansową, marketingową i promocyjną swej działalności. Jest w grupie wielkich sportowców, którzy kandydują do działalności w Komisji Zawodniczej Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego. K.R.

CHÓD Z BLISKA

Pierwsza rata meksykańskiego długu

Skaczą po górach



Robert Korzeniowski

FOT. EPA

Robert Korzeniowski skończył piątkowy chód olimpijski na dystansie 20 kilometrów na drugim miejscu i był bardzo rad ze zdobycia srebrnego medalu. Po godzinie dowiedział się, że ma medal złoty, ponieważ zdyskwalifikowano pierwszego na mecie Meksykanina Bernardo Segurę.

Polak popłakał się ze szczęścia. Prawdziwi mężczyźni też mają łzy pod powiekami i czasem one wypływają.

Czy Robert Korzeniowski jest szczęściarzem, który skorzystał na pechu konkurenta z Meksyku? Dyskwalifikacje są ryzykiem zawodowym tej konkurencji, przytrafiają się każdemu i można wyrazić zdziwienie, że towarzystwa ubezpieczeniowe jeszcze tego nie wykorzystały. Sędzia zdejmuje z trasy chodźiarza wtedy, kiedy trzykrotnie go ostrzega (czerwona kartka), że on nie idzie, lecz biegnie. Gdyby ktoś chciał napisać kronikę dramatów na trasach chodu sportowego, powstałaby gruba książka i Robert Korzeniowski oraz inni Polacy mieliby w niej swój okazałych rozmiarów rozdział.

Zbieg okoliczności sprawił, że w Sydney kara dotknęła reprezentanta tego kraju, który jest zadłużony u Roberta Korzeniowskiego po uszy, i można mówić o spłaceniu dopiero pierwszej raty długu. To właśnie sędziowie meksykańscy, jako członkowie działającego przez wiele lat trójprzymierza, do spółki z sędziami hiszpańskimi i włoskimi nekali Korzeniowskiego dyskwalifikacjami. Zależeli mu za skórę do tego stopnia, że Polak wahał się, czy warto startować w Sydney.



Robert Korzeniowski nazywa chód sportowy polem minowym, po którym trzeba ostrożnie stąpać. Na ostatnich mistrzostwach świata (Sevilla 1999) nie doszedł do mety, do spółki z innym polskim chodźcą, Tomaszem Lipcem. Oba zdyskwalifikowano za wykroczenia regulaminowe, ale były trudności z dokładnym określeniem, za co. Takich kar miał Korzeniowski wiele, między innymi zdejmowali go sędziowie z trasy na igrzyskach w Barcelonie, tuż przed bramą stadionu, na którym był finisz (szedł po srebro). Nie ukończył, z tych samych powodów, mistrzostw świata w Stuttgarcie (1993). Najczęściej dyskwalifikowano Korzeniowskiego za to, że jego stopy traciły kontakt z podłożem, a tak naprawdę za to, że jego stopy były coraz szybsze i zagrażały chodźcom Meksyku oraz Hiszpanii.

Po dyskwalifikacji w Sewilli Korzeniowski mówił: "Już na trzecim kilometrze otrzymałem pierwsze ostrzeżenie i za chwilę wniosek o dyskwalifikację. W tym momencie maszerowałem wraz z liczną grupą w wolnym, rozgrzewkowym tempie. Ten wniosek dał sędzia z Malezji albo z Senegalu, a więc z kraju, gdzie ta konkurencja praktycznie nie jest uprawiana. Nie wiem, za co zostałem zdyskwalifikowany. Dwóch sędziów pokazywało mi brak wyprostowania nogi w kolanie, a dwóch innych brak kontaktu z podłożem. To dwa zupełnie różne wykroczenia". Po Sewilli Korzeniowski miał wątpliwości, czy jechać na igrzyska do Sydney, gdzie też będą sędziowie i gdzie na pewno zdejmą go z trasy.

Polak nie jest wcale męczennikiem sportowego chodu, bo na każdych zawodach kogoś zdejmują z trasy. Raz tych, których stopy tracą kontakt z podłożem, innym razem tych, którzy wyprzedzają ziomków. Dowodem tego, że nie jest męczennikiem, jest złoty medal zdobyty w piątek w Sydney, podobnie jak przed czterema laty w Atlancie (tam na dystansie 50 kilometrów). Nie jest wykluczone, że Meksykanin Barnardo Segura mówi dzisiaj to samo, co mówił Korzeniowski po mistrzostwach świata w Sewilli i po igrzyskach w Barcelonie. Bo tak naprawdę oni wszyscy idą, skacząc po górach.

Andrzej Łozowski